

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr.— półroczna **3** Zlr.— kwartalna **1** Zlr. **30** kr.— miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.— kwartalnie **2** Zlr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie-
m petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-garni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

X.

(Ciąg dalszy).

Po takiej walce okropnej dzień biały zastał go bladym z pomięszaną cerą na twarzy, z podsiniałemi oczyma i z włosami w dziwnie rozpaczliwym nieładzie. Obaczywszy słońce, zdawało mu się, że się przerwie jego wewnętrzny niepokój, że jego rozpaczliwe usposobienie jak widmo nocne zniknie przed światłem: atoli niebawem pokazało mu się, że dzień był teraz dla niego jeszcze gorszym od nocy. W nocy ciemność go zasłaniała przed ludzkimi oczyma i był przynajmniej o tyle swobodnym, że niepotrzebował pamiętać o sobie: teraz musiał jeszcze panować nad sobą, ażeby ktoś wzruszenia nie wyczytał mu z twarzy. Wiedząc o tem, chciał się czemkolwiek rozzerwać, ażeby swoje myśli rozprószyć, ale i tego niemógł dokazać. Rzucił się do narzuconej mu przez generała historyi kościelnej, i nie był w stanie ani jednej kartki odczytać, — chwycił do ręki ołówek i chciał pisać cokolwiekbaż, żale, uczucia swoje wylać na papier, lecz nie kleiły mu się myśli i ani jeden wiersz mu się nie złożył; — rzucił ołówek na ziemię i wyglądął przez okno, ażeby się widokiem rozzerwać, lecz i to mu się nie udało, bo oczy odmówiły mu wzroku, patrzył i nic nie widział, tak był cały zatopiony, połknięty w sobie.

Tak dzień stał się tem samym dla niego, czem mu była noc przeczuwana, — aż nadeszła pora obiadu.

Przy stole Kamil szczególniejszym stekiem okoliczności stał się tym punktem głównym, na który jak gdyby zmówione zbiegały się oczy wszystkich współbiedniaków. Z niewiadomych powodów patrzyła prawie ciągle na niego pani marszałkowa, patrzyła gołemi oczyma i przez lorynetkę, a jakkolwiek jego oczy najczęściej się spotykały z jej wzrokiem, wzrok ten jednak był jeszcze najznośniejszym dla niego, bo odbijał się w nim wyraźnie jakiś promień łaskawy, dziwnie słodki a nawet przyjazny. Mniej już znośnym dla niego był wzrok generała; starzec ten bowiem, wycztawszy z łatwością z jego twarzy jego wewnętrzny niepokój, z dziwną ciekawością przypatrywał się jemu i tak miał przytem minę surową i ostrą, jak gdyby się gniewał na niego i lada chwila miał o przyczynę takiego uspo-

biaenia zapytać. Najnieznośniejszym atoli dla niego był wzrok błyszczących oczek Adeli, które wprawdzie co chwila innym mieniły się blaskiem, pomimo to jednak ciągle były pełne takiej ironii, że ją Kamil wziął za wyraźne szyderstwo i za każdym spojrzeniem na swoją nieodgadnioną kochankę, kipiał oburzeniem i gniewem, jak garnek napelniony kipiatkiem, przysuwany i odsuwany od ognia.

Pelen też oburzenia i gniewu wstał on od stołu i znalazłszy się sam w swoim pokoju, długo jeszcze nie mógł się pozbyć tego nowo nabytego uczucia, chociaż już nie spotykał się z ironicznym wzrokiem Adeli. Wszakże wysiliwszy się, ułożył się pomału w nim gniew ten, nie mający dostatecznej podstawy, a z nim razem zamknęły się i inne źródła jego wewnętrznego wzburzenia. Najlepszym środkiem uspokojenia się w każdym nieszczęściu, jest owe, po przesileniu się naszego gniewu następujące, przekonanie, że nieszczęście jest od nas silniejszym i że tylko cierpliwością nad niem panować możemy. Do tego przekonania przyszedł Kamil nareszcie i zaczął się zbroić w cierpliwość. Jakoż to samo zbrojenie się już mu wiele pomogło, bo jakkolwiek jeszcze bardzo dalekim był od zupełnego spokoju, jednak uzyskał przynajmniej oddech cokolwiek swobodniejszy i poznikały z jego twarzy wszelkie ślady zawziętego passowania się, czy to z okolicznościami, czy z sobą samym.

Tego, zdaje się, że natychmiast dostrzegła domyślna Adela, bo jak tylko Kamil przybrał powierzchowność spokojną, znalazła ona zaraz w dni kilka sposobność pomówienia z nim w cztery oczy. Rozmowa to była bardzo krótka, ale za to też bardzo łaskawa.

— Pan Kamil, — rzekła ona do niego, stojąc oparta o drzwi w salonie, tak, że mogła widzieć na wszystkie strony, — pan Kamil jest bardzo dziwny człowiek i daleko właściwiej-by było, gdybyś pan był nazwiska Dziwo-męża, niżeli ja Dziwo-żony.

— Nie mogę pani w tem przyznać słuszności, — odpowiedział na to dość śmiało, lubo wcale niespodziewanie zagadniony młodzieniec, — i odważę się nawet powiedzieć, że gdyby był lud wiejski nie przyczepił pani tego nazwiska, to ja-bym był je pani przyczepił.

Uśmiechnęła się na to prawie z zadowoleniem dziewczyna, a tymczasem Kamil zapytał:

— Lecz dla czegoż pani mnie tak dziwnym znajdujesz?

— Dla czego? ohoho! wiele mam do tego powodów, a najgłówniejszy ten, że pan, mając daleko więcej rozumu, niżelim go w panu dostrzedz mogła w lesie, pod dachem wyrzekasz się tego rozumu i koniecznie się chcesz tak zachowywać, jak gdybyś jeszcze zawsze był w lesie.

— Przepraszam panią, ale ja nic a nic nie rozumiem.

— Pan bardzo dobrze rozumiesz, ale nie chcesz rozumieć, i to jest główna dziwaczność pana Kamila.

— Zmiluj się pani, — rzekł na to z uczuciem młodzieniec, — jak też pani mnie możesz posądzić o niechęć zrozumienia pani! Wszakże rozumieć panią zawsze i wszędzie, jest jedynym celem mojego życia.

— Cel to mały zaprawdę, — odpowiedziała dziewczyna, — i zapewne nie trudny. Ale jeśli panu wydaje się trudnym, to ja panu do zupełnego osiągnięcia go dopomogę: zrozum pan najpierw siebie dokładnie, potem weź zdrowy rozsądek na pomoc a ręczę panu, że i mnie przez to zrozumiesz.

— Siebie ja pewnie dobrze rozumiem, — rzekł na to Kamil z westchnieniem, — i zawsze wiem, czego chcę lub dokąd idę.

— Może i ja wiem, czego pan chcesz, — zawołała z filuternym uśmiechem Adela, — ale nie umiem odgadnąć, dokąd pan idziesz, bo tam, dokąd pan zamierzyłeś, doszedłeś, a dalej dla pana drogi już nie ma.

Nad tą odpowiedzią Kamil się chwilę zamyslił, co widząc Dziwożona, spytała go z lekką ironją:

— Pan znów nie rozumiesz?

— Nic nie rozumiem.

— Ha! to już nie moja wina, wszak mówiłam po polsku.

Rozmowa ta stała się znowu zagadką dla prostodusznego Kamila. Odpowiedź Adeli była wprawdzie teraz dość jasną, ale zakochani rzeczywiście nie chcą nie jednej rzeczy zrozumieć, a jeżeli ją rozumieją, tłumaczą ją sobie tak, jak ją mieć pragną. To też i Kamil wytłumaczył sobie tę rozmowę odpowiednio pragnieniom swojego serca i przyszedł do przekonania, że jego sprawa miłośna nie stoi jeszcze tak źle, jak ją sobie w chwilach zwątpienia wyobrażał; tego tylko nie mógł zrozumieć, dla jakich właściwie powodów dziewczyna ta, która już tak daleko z nim zaszła była w miłości, dzisiaj cofnęła się wstecz i jego także do cofnięcia się przymusiła? — Wszakże różnie jeszcze myśląc o tym wypadku, wyrozumował on sobie, że kto tak niespodziewanie i szybko potrafił się cofnąć, ten przy danej sposobności równie niespodziewanie i szybko potrafił poskoczyć naprzód, i wyczekiwał z niecierpliwością drugiej sam na sam rozmowy.

W kilka dni zdarzyła im się rzeczywiście ku temu sposobność, i Adela znowu łaskawie rozmawiała z Kamilem, ale ostatecznym słowem tej drugiej rozmowy był znowu tylko ten sam sens moralny: że trzeba wziąć zdrowy roz-

sądek na pomoc i siebie samego zrozumieć. Potem zdarzyła się trzecia i czwarta rozmowa, ale żadna z nich nie przekroczyła granic raz zakreślonych i każda toczyła się tylko jednym i tym samym sensem moralnym, którego pomimo niezaprzeczonej jasności, całkiem był niezrozumiałym dla prostodusznego Kamila.

Wszakże to nakoniec znecierpliwiło rozkochanego i tęskniącego za dawną miłością młodzieńca; przypominał mu się ciągle ów Jar pogański, nad którym w oka mgnieniu tak swobodną, tak bliską znajomość zabrał ze swoją kochanką, przypominał mu się ów dąb kilkuset-letni, pod którego cieniem tyle chwil słodkich, czarujących, uroczych z nią spędził, przypominały mu się nakoniec wszystkie najdrobniejsze nawet zdarzenia z tamtego miejsca i czasu, każde uczucie doświadczone, wypowiedziane albo w czyn zamienione, każde pragnienie zaspokojone, każda zgoda scenka tej krótkiej wprawdzie ale tak pełnej i skończonej miłości. I miałoż-by to wszystko być tylko komedią, odegraną dla czezej zabawy i nie mającą żadnego następstwa? Miałyż-by te wypadki nie mieć większej wagi od wypowiedzianego słowa, które ginie w powietrzu, nie zostawując żadnego śladu po sobie? Miałaż-by ta przeszłość, tak bogata w zdarzenia, tak ważna w samej sobie nie mieć już żadnej przyszłości?... Nie, to być nie może, — mówił sobie Kamil, rozmyślając te wszystkie szczegóły, — taka przeszłość nie może być niczem, nie może przemknąć się przez życie ludzkie bez żadnego następstwa na przyszłość, nie może zniknąć jak sen, jak marzenie, jak twór wyobraźni, ażeby tylko cień swój zostawić w pamięci; nie, to być nie może, bo taka przeszłość jest treścią, jest wątkiem, wystarczającym na całe życie.

Tak rozumując i w młodzieńczym zapale biorąc pierwszą miłość rzeczywiście za tak głębokie i trwałe uczucie, które tylko zagasnąć może na ziemi wraz z życiem a potem musi się przenieść w świat zagrobowy, ażeby tam trwać na wieki wieków, — nietylko wierzył, że jego miłość jest taką, ale taką miłość przypisał także i swojej kochance.

Najnieszcześniejsze w błędach są głowy, wierzące w logikę i umiejące rozumować logicznie; bo kiedy sobie raz wywnioskują jakie przekonanie, to już nie masz tej siły, która-by ich inaczej przekonać zdołała. Ludzie ci stawiają się murem swym przeciwnikom, nie obawiają się żadnych pocisków, stojąc na swoim rusztowaniu logicznym, wytrzymują mężnie wszystkie najzręczniejsze napaście, a kiedy giną, to na ich twarzach maluje się wyraz dumy i pogardy, a ostatnie ich słowo: *Et tamen se movet*. Bezskuteczne też są przeciw nim wszelkie walki dialektyczne, bo słowo ich nie zwycięży. Czas tylko jeden, wypadkami do ludzkich rozumów przemawiający, kiedy przyniesie im dowód faktyczny, że jakkolwiek rozumowanie ich było logiczne, punkt wyjścia był jednak fałszywy a ztąd i przeko-

nanie fałszywe, jest w stanie zadać im klęskę stanowczą, lecz wtedy ta klęska jest dla nich o wiele bogatszą w straty, niżeli obfitem w korzyści mogło być ich zwycięstwo. Głowy logiczne najniebezpieczliwszymi są w błędach.

Kamil był także głową logiczną. Więc jak tylko stanął już na tym punkcie, że, mógł wyprowadzać wnioski i z nich wznosić jakąś budowę, wywnioskował sobie jak najlogiczniej, że przyczyna, dla której jego stosunek miłosny ze swego końca cofnął się prawie aż do swoich początków, nie leży w Adeli, tylko w okolicznościach. Postanowił więc sobie, cierpliwym być i wytrwałym na wszystkie okoliczności a tymczasem koniecznie przekonać swoją kochankę, że silna wola, ów drugi bóg każdego młodego filozofa, jest mocniejszą od wszystkich okoliczności i byle tylko w niej wytrwać do końca i mieć w każdej chwili potrzebną odwagę, to zwycięstwo musi stanąć po stronie woli.

Z takim postanowieniem w duszy marzył on tylko o owej chwili, w której mu się znowu zdarzy sposobność mówienia sam na sam z Adela. Na to nie potrzebował czekać zbyt długo, albowiem zaraz dnia następnego, kiedy przy herbacie oddano jakieś listy generałowi, wszczęła się tak ważna dysputa pomiędzy nim a panią marszałkową, że się ci państwo dla jej skończenia musieli wynieść do przyległego salonu a Kamila zostawić sam na sam z Adela. Młodzieniec, uczący się z potrzeby coraz lepiej zręczności i przytomności, korzystał oczywiście z tej chwili i wypowiedział jak mógł najjaśniej znaczną część tych teorii, na których miała się opierać zamierzona dla kochanki nauka. Dowcipna i pojętna dziewczyna domyśliła się w oka mgnieniu, do czego zmierzał ten wykład, atoli nic nie mówiąc, wysłuchiwała wszystkiego cierpliwie. Dnia następnego Kamil posłąpił o krok dalej w rozwoju swojej nauki, a dziewczyna go znowu słuchiwała cierpliwie. Potem jeszcze kilka dalszych odrecytował prelekcij, a kiedy każda z nich została wysłuchaną przykładnie, Kamil się nie posiadał z radości i nie mógł się dosyć nadziwić samemu sobie, jak jeniealnie trafił na środek prowadzący go prosto do celu. Atoli kiedy już prawie pewny zwycięstwa, dnia jednego z ostatecznymi się rozpostarł wnioskami i zakończył zręcznie ułożoną apostrofą, mocą której dowiódł jak gdyby na dłoni, że dla zbawienia ich obojga potrzeba im koniecznie zejść się ze sobą pod zasłoną nocy w jakimś tajemnym ukryciu: dziewczyna mu się w nos roześmiała i rzekła:

— Pan jesteś człowiek rzeczywiście szczególny! bo jak widzę tylko na to wysilasz swój rozum, ażebyś tem jaśniej swoje głupstwo oświecił.

Tak niespodziewaną odpowiedzią uderzony, Kamil tak się przestraszył, jak gdyby go nagle błyskawica olśniła, i nie umiał już ani słowa powiedzieć. Smutny też, nieprzytomny i na wpół odurzony powrócił tego wieczora do siebie, — a kiedy rozmyślając nad tym wypadkiem, całą

noc strawił bezsennością i o świcie jeszcze bardziej się czuł nieprzytomnym, niż wczoraj wieczorem, zatrzymał się tylko w swem zamysleniu i rzekł głosem do siebie:

— Jam ciebie nie pojął i nie zrozumiał! bom ja jest człowiek i tylko rzeczom ludzkim rozumiem. Ale lud prosty, który żyje na łonie natury i w nieskalanem swem sercem stoi w tajemniczym z nią związku, on ciebie odgadł i ocenił. Ty nie jesteś kobietą; ty jesteś duchem, nimfą, szatanem, ty jesteś Dziwo-żoną.

Przez kilka dni potem Kamil nie tylko nie śmiał nowej rozpoczynać z Adela rozmowy, ale nie miał nawet odwagi oczu podnieść na nią; on był znowu brzemienny jakąś dziwną zagadką, znowu z sobą samym niezgodny, on wstydził się siebie.

Wszakże kilka dni czasu i chłodniejszego rozmyślenia wprowadziły go znowu w dawną kolej rozumowania; filozof zaczął znowu stawiać przyczyny i wyciągać z nich wnioski. I znowu zbudował sobie to samo rusztowanie, które jednym słowem obaliła dowcipna dziewczyna, i na tem rusztowaniu znowu postawił sobie jakiś wniosek ostateczny. I ta jego robota znowu nie zdała się na nic; jak zawsze, jak wszędzie, martwa i nieruchoma teoria przeciwko wiecznie żywej i wiecznie ruchliwej praktyce. Teraz nawet przekonał się o tem Kamil daleko prędzej niż przedtem. Żywa bowiem i nieubliżająca wszelkiego powtarzania generałówna nie chciała ani jednej prelekcji wysłuchać do końca, — nudziły ją te długie, kwadratowe peryody, a nudziły ją jeszcze o tyle więcej, ile że teraz przebijają się w nich żal jakiś, jakaś tęsknota, jakieś nieśmiałe pragnienie, które nie miało nawet odwagi przyznać się do swojego właściwego nazwiska. Więc chociaż wytrwały w swoich uczuciach i pragnieniach młodzieniec przy każdej sposobności rozpoczynał jakąś rozmowę, chociaż nawet zmieniał za każdym razem tych rozmów ton i formę, wszystko to w niej nie obudzało żadnego zajęcia i wywoływało najczęściej tylko drwiny, żarty, przycinki, ironiczne uśmiechy a w najlepszym razie jawny wyraz politowania.

— Wielki z pana Symplicyusz, — panie Łaski, — mówiła ona do niego, — zawcześniej pan przestał chodzić do szkoły.

— Żal mi pana serdecznie, — powiadała mu kiedyś indziej, — bo pan jesteś wierny jak...

— Jak pies, — poderwał Kamil, — powiedz pani otwarcie, ja się pewnie nie rozgniewam.

— O! ja wiem że się pan nie rozgniewasz i to właśnie mnie nudzi, że się pan na mnie nie możesz rozgniewać.

— Niepotrzebnie się pan skarżysz przedemną, — mówiła ona znów innym razem do niego, — ja wiem, że pan cierpisz, i bardzo-bym była szczęśliwa, gdybym pana mogła pocieszyć, ale nie rozumiem, jak-bym to mogła uskutecznić? chyba żebym poszła za pana? ...

— Ach! — westchnął Kamil.

— Cha, cha, cha! — odpowiedziała Adela.

I to były zwyczajne zakończenia jej rozmów. Jak z nich zadowolony był Kamil, wyobrazić sobie nietrudno. Był on rzeczywiście godnym politowania, godniejszym jeszcze dla tego, ile że nie cierpiał tylko tyle, ile-by był cierpiał na jego miejscu każdy zwyczajny kochanek, mający tyle pokory i cierpliwości, ile miłości. On nie miał wcale pokory a jakkolwiek umiał być w potrzebie bardzo wytrwałym, jednak wcale nie był z natury cierpliwym, — on był żywym i drażliwym, był dumnym na swą godność człowieka, którą stawiał bardzo wysoko, a przy tem jeszcze zrozumiałym i lubiącym stać wszędzie o swoich własnych siłach. Cierpienie też jego było daleko głębsze i wszechstronniejsze, — głębsze, bo je umiał zawsze należycie ocenić, — wszechstronniejsze, bo je sam rozprzestrzeniał i urozmaicał myśleniem. Dla tego można powiedzieć, że nie było tak złego przymiotu w naturze ludzkiego serca, o który-by był z kolei nie posadził Adela, nie było tak czarnej myśli, mogącej mieć związek z miłością, której-by był jej nie przypisał.

— Ona jest okrutną! nielitościwą! — powtarzał sobie codziennie, — ona się pastwi nademną!

I cierpiał biedny młodzieniec okropnie, bez żadnej ulgi, bez pociechy, bez nadziei nawet, że kiedykolwiek się skończy jego cierpienia.

Jednakże te cierpienia może-by mogły być jako-
kolwiek jeszcze znośnemi dla niego. Cierpienia miłosne mają zawsze jakiś urok, jakąś stronę ponętną i piękną dla głów poetycznych i serc roskochanych. Kiedy umiano cierpieć z miłości, ceniono bardzo wszystko, co miało związek z miłością. Miłość porównywano natenczas do róży, przy której niezbędnymi są kolce, — a byli i tacy, którzy temi kolecami pokłóci, unosili się nad słodyczą takiego bolu a cierpienia swoje nazywali rozkoszą. Wszakże śpiewali klasycy w patetycznym zapale:

O ty, której wdzięki
Budzą boleśną radość i roskoszne męki!

(D. c. n.)

Do przyjaciela.

Nie dziw, gdy płoche dziewczę,
jak piękne motyle,
W krótkiej wiosnie swej z kwiatu na kwiatek ulata.
O! wkrótce może długie, niewolnicze lata
Osnuje tylko w owe złotych wspomnień chwile.

Ale gdy przyjacieli — a miałem ich tyle!
Lada zimny wiew szczęścia jak motyle zmiata:
O! to smutno! okropnie taka boli strata,
Pomnąc na dalsze życie i walk ciężkich chwile.

Runęło tyle kolumn, o jedną kolumnę,
Co została, o ciebie, oprę czoło dumne,

Dość jednej deski dla mnie, z burzy się wybije.

Lub — wzniosę ręce, losu skrawione żelazem:

Niech Bóg ci błogosławi, i mnie z tobą razem,

Patrząc na szczęście twoje, nadzieją odżyje.

P. K.

M o r m o n i.

Na wolnej ziemi Zjednoczonych Stanów północnej Ameryki, która tyle już dziwów przemysłu i potęgi assocyacyjnej wydała, gdzie do 50 sekt chrześcijańskich swobodnie i szczęśliwie obok siebie żyje i Boga chwali, utworzyła się w najnowszych czasach sekta, która, odstrychnąwszy się od wszystkich innych, a raczej usiłując pochłoniąć je, zwróciła na siebie nie tylko baczność a poniekąd i trwogę rządu Zjednoczonych Stanów ale i uwagę całej Europy. Z szczupłego zawiązku rodzinnego, jak Mahometanizm, w przeciągu 14 lat zyskała przeszło 100,000 zwolenników, wysłała z łona swego apostołów na cały świat; w jedno ciało i jedną duszę zlała, pod wpływem niestępnego zapалу i pod rządem teokratyczno-autokratycznym, a więc z tego względu choć w małej liczbie, już zawsze silna i silniejsza jeszcze niżem niezmordowaną pracowitością rąk i głowy: osiedliła się w najżyźniejszej krainie, na rozgraniczu, gdzie się z jednego boku kończą dotychczasowe osady europejskie, a z drugiego boku zaczynają koczowiska dzikich plemion indyjskich, i tworzy tam niejako w rzeczypospolitej rzeczpospolitą, której separacyjne tendencje tem więcej woczy biją, i rząd Waszyngtonu zatrwajają, że członków swoich *świętymi dni ostatecznych*, a resztę chrześcian i poganów zarówno *poganami* nazywa. Główna ich siedziba nazywa się u nich Syon, Jerozolima nowa, z kąd rozejść się mają po całej kuli ziemskiej promienie prawdziwej wiary Boskiej. Sekta ta nazywa się *Mormonami*, od *złotej księgi* swojej, którą do Biblii dołączyli i *księgą Mormonu* nazywają.

Tę sektę założył *Józef Smith*, urodzony 23. grudnia 1805 r. w państwie Vermont w Stanach Zjednoczonych. Rodzice jego byli prostemi wieśniakami, którzy go nauczywszy cokolwiek czytać i pisać, w domu do pomocy trzymali. Rojło się w on czas ludziom po okolicy o jakichciś skarbach w ziemi ukrytych, wiele głów opanowała ta fixacja, i tracono majątki krwawą pracą nabyte na uzyskanie owych mniemanych skarbów a raczej na wzbogacenie oszustów, którzy się chlubili, że mają dar odszukiwania tychże. Rodzice Smitha należeli do owych obłąkanych, a Smith sam, będąc z natury skłonny do wiary w nadprzyrodzone cuda i tajemnice, zrobił się odszukiwaczem. Przechodził więc północno-wschodnią część Stanów Zjednoczonych, przerzucał się z jednej sekty do drugiej, tak że nakoniec przyszedł do mniemania, że żadna z nich nie jest ową religią, która pochodzi od Boga i w głębi serc przemieszkuje.

Józef Smith opisuje w swojej biografii, że powątpiewania jego różne omal go na puszcze niedowiarstwa nie rzuciły i że w tym labiryncie nie widział innej ucieczki, jak w strzelistej modlitwie do Boga. Dniem i nocą usiłował odzegnać z nad głowy swojej ten obłok, który mu zakrywał światłość niebiańską, aż nareszcie został wysłuchanym. W pierwszym widzeniu objawiły mu dwie osoby promieniące się, że mu grzechy odpuszczone, i że Bóg go wybrał na głosiciela wiary jedynie prawdziwej. We wrześniu 1823 r. miał drugie widzenie, które mu opowiadało, że naukę znajdzie na złotych tablicach, w pewnym miejscu ukrytych. Ale krył to w tajemnicy, a tymczasem sława jego jako odszukiwacza skarbów ukrytych coraz dalej się szerzyła, i kilka lat minęło, nim się z powołaniem swoim objawił przed rodziną, która łatwo w niego uwierzyła. To powodzenie skusiło go, szukać dalej szczęścia. I powiedło mu się.

Trzeba było z samego początku wydać na świat owe objawienie, na złotych tablicach spisane. Znalazł niebawem niejakiego *Harrisa* a potem *Cowdery*'ego, którzy mu przepisywali to, co im siedząc za zastoną dyktował. Tak wyszła nareszcie w r. 1830 księga czyli biblia Mormonu.

Składa się ona z dwóch części, z dziejowej i czysto religijnej. O powstaniu części pierwszej dziwne wieści krążą. O ile się na prawdzie te wieści opierają, przy niedostatecznych dotąd źródłach z pewnością osądzić nie możemy.

Niejaki *Spalding* wypełniać miał wolne od pracy godziny swoje pisaniem. Na papier przelewał myśli swoje, nie przeznaczając ich wcale do druku. Między innymi napisać miał około roku 1812 księgę, w której dowodzić miał, że Ameryka prawdopodobnie zaludnioną była pierwotnie przez owe dziesięć pokoleń Izraela, wziętych do niewoli assyryjskiej. Brat *Spalding*a utrzymuje, że tenże opisywał dzieje oświaty amerykańskiej i chciał objaśnić tym sposobem starożytności po kraju porozrzucone i dotychczas zachowane. Księga ta gdzieś zniknąć miała, a wdowa *Spalding*a i inne osoby mają twierdzić, że biblia Mormonu nie jest odszukanem przez *Smitha* pismem bożem, na złotych tablicach wrytem, ale właściwie owym zatraconym manuskrytem *Spalding*a, tylko że *Smith* kazał Izraelitom nie z Rzymu, jak pierwotnie stało, ale z Jerozolimy do Ameryki wywędrować. Jakoż prorok Mormonów nigdy nie ukazał owych złotych tablic. Ta księga musiała się dostać około roku 1820 w ręce *Smitha*, gdyż już wtedy w rodzinie jego krążyły wieści o wynalezieniu jakiejś książki.

Druga część biblii mormońskiej religijna, jest dziełem samego *Smitha*, a celem jej jest pogodzenie wszystkich systemów religijnych na świecie. Dowodzi Żydom, że spodziewany ich messyas już się w Chrystusie ukazał, a Chrześcianom poleca, aby we wszystkim z Żydami trzymali. Przekonuje Indianów amerykańskich, że pochodzą od dzie-

sięciu pokoleń Izraela, a więc powinni się z pobratymcami swoimi łączyć. Dowodzi Indom, że Bramaizm, a Mahometanom, że Islam w Mormonizmie na najwyższym szczyście doskonałości stanął.

Dnia 6. Kwietnia 1830 kazał się *Smith* przez *Cowdery*'ego ochrzcić, i ustanowił kościół nowy, składający się podówczas dopiero z 6 członków; dziś liczy przeszło 100,000 po wszystkich częściach świata, gdzie tylko apostołowie jego stąpili.

System hierarchiczny, którym się teraz Mormoni rządzą, nie był właściwie z początku w zamysłach *Smitha*. Był *Smith* z początku tylko najstarszym, a *Cowdery* drugim po nim. Ale z czasem uorganizowała się kasta duchowna i podzieliła na dwie klasy. Pierwsza, czyli tak zwana wieczna, rozpadła się na dwa oddziały, jeden złożony z arcykapłanów i duchownych, drugi z apostołów i rady. Druga klasa obejmuje w sobie najstarszych, biskupów, diakonów, nauczycieli i t. d. Trzymano się w urzędzeniu duchowieństwa Mozaizmu, jednakowo co do obowiązków, wcale się różnią od *Aarona* i *Lewitów*.

W *księdze zakonu* (*Book of Covenant*) mówi, że sam Chrystus go wysłał, i odwołuje się na świadectwo aniołów, ojców kościoła i św. apostołów, i utrzymuje, że duch święty bezpośrednio i na niego zstąpił.

Przystąpimy teraz do dziejów zgromadzenia Mormonów, czyli, jak się sami nazywają, świętych dnia ostatecznego.

Józef *Smith*, nowochrzczony od pisarza swego, i niejako na proroka namaszczony, z zapalem wziął się do dzieła, a pomnożywszy liczbę swoich zwolenników, rozsyłał ich zaraz do opowiadania nowej wiary. Garnęli się tłumami do niego marzyciele i zapaleńcy, którym cudowność ostatnią jest cechą prawdy; nad spodziewanie szczęśliwe powodzenie księgi *Mormonu* i kazań mormońskich zwróciło uwagę naczelników wszystkich innych sekt; poczęto przeciw *Mormonom* kazać i wyklinać ich, przez co tylko więcej ciekawość zaostrzono, i *Smithowi* najlepiej się przysłużono. W Sierpniu 1830 przeszedł sławny *Kampbell* *Parly P. Pratt* do *Mormonów* i pociągnął za sobą równie sławnego kaznodzieję baptystów *Sidney Rigdon*a, a za tymi całe gromady ich wyznawców. Ale ci dwaj mężowie więcej znaczyli, niż tysiące innych, i jeśli *Smith* był podał ideę *Mormonizmu*, to oni swojemi zdolnościami i energią do ustalenia i nadzwyczajnego rozszerzenia tegoż się przyczynili.

W pierwszym zapale garnęli się Amerykanie na ślepo do *Mormonizmu*; imię, forma, idea ich głowy zawróciła, ale z pewnością niewiedzieli ponoś, w co właściwie uwierzyli. *Smith* sam jeszcze zapewne nie miał jasnego pojęcia o nauce i celu swoim, a tak po ochłonięciu pierwszego szału, kto wie, jakiby obrot wziął *Mormonizm*. Ale *Pratt* i *Rigdon* pochwycawszy główny wątek idei *Smitha*, wysnu- li go dalej, nauki zawikłane i ciemne uporządkowali i objaśnili, uzasadnili pierwsze objawienia, i pokazali ścieżkę,

którą się dalej puścić mają Mormoni. Rigdon został w nagrodę wyniesiony na pierwszego po proroku, i pod tegoż imieniem wydał kilka dzieł teologicznych.

W końcu r. 1830 rozkazał Rigdon w skutek wyższego objawienia osiedlić się w okolicy, która miała niby graniczyć o święty, przyobiecany Kanaan. Kanaan obejmował w sobie większą połowę Ameryki północnej, a Mormoni przywłaszczyli go sobie na podstawie, że bóg odda świętym dnia ostatecznego ziemię całą. Smith pierwszy poddał się rozkazowi Wielkiego rady (tytuł Rigdona) i ruszył z swoimi przybocznymi uczniami do państwa Ohio. Tam się mieli zgrupować i czekać, aż bóg samemu prorokowi objawi, gdzie ów Kanaan, Eden się znajduje, w którym osiedlić się mają.

Przybywszy do Ohio, nakazał prorok i dwaj jego niezmordowani pomocnicy posty i pokuty po dziś dzień pamiętne w owej okolicy. Skutek i wpływ tych ćwiczeń i przygotowań duchownych był do nieopisania, szła ogarnął wszystkich, tak że aż sam prorok widział potrzebę, wczesnego uśmierzenia tych uniesień.

Smith osiągnął swój cel. Był prorokiem; słowa, wyroki jego trzymano za wprost od boga pochodzące, nieomyłne. Rigdon i Pratt byli mówcami, którzy naturalnym ale wrzącym słów swoich prądem zapalili umysły słuchaczy. Kto wszedł w kółko Mormonów, już był porwany wirem, już sam szalał. Ale obaj ci mężowie byli doskonałymi ministrami finansów, co także nie mało się przyczyniło do trzymywania w kupie i porządku tych tłumów, nie pamiętających o sobie.

Aby Mormonizm coraz dalej rozszerzać na zachodzie Ameryki, wybrał Smith dwa oddziały posłanników, po 150 w każdym dziale, a zarząd całego oddał pod kierunek jennialnego Rigdona. Oba oddziały miały w pewnym czasie zejść się na brzegach Missouri, gdzie nowy Eden wyszukać miano. Świetnie wywiązali się wysłanniki z poruczonych sobie zleceń. Na prawym brzegu rzeki Missouri, w państwie tegoż nazwiska w bliskości Indianów i miasta Independance, wypatrzone krainę cudnie położoną, którą im bóg wedle objawienia przeznaczył, i gdzie miał być niegdy sam raj i pierwszy ołtarz Adama. Tam się udał Smith, poświęcił plac na nowy Syon, i położył kamień węgielny na świątynię pańską, i powrócił nazad do Kirtland, swojej siedziby.

(D. n.)

Listy gospodarza wiejskiego.

I.

△ Kto w życiu swoim patrzył z zazdrością na ten ruch i skrętność zachodniej Europy, jaki się tam pojawia w celu wzniesienia rolnictwa, na ten szczyt doskonałości, do którego mu nauki przyrodzone i matematyczne pewną utorowały drogę, a patrzył z zazdrością dla tego, że w kraju rodzinnym w miejscu tego ruchu i tej skrętności

widział tylko pośród ogólnego letargu pojedyncze konwulsyjne drgania bezowocnych usiłowań; kto tak na świat ten patrzył, i do takich na kraj swój i społeczność nawykł zapatrywać: ten pewnie ze mną z szczerą radością powita dwa wielkie zdarzenia w kraju naszym, skierowane równocześnie tak ku podźwignieniu przemysłu jako i rolnictwa. Mówię tu o zakupieniu Dublan na rzecz zakładu rolniczego, i o zawiązaniu towarzystwa w celu dźwignienia przemysłu wyrobów płóciennych.

Ile błogosławieństwa te dwa zakłady na dobro kraju rozleją, gdy je mądra pokieruje ręka, łatwo okazać w przykładach krajów tyle bogatszych i szczęśliwszych od nas, ile nas w rolnictwie i przemyśle prześcignąć zdołały.

Gdy zaś między założeniem instytutu rolniczego a utworzeniem towarzystwa w celu dźwignienia przemysłu wyrobów płóciennych, ta różnica zachodzi, że zakład agromomiczny jest własnością całego kraju, a wyrobnia płócien własnością pewnej liczby akcyonaryuszów; przeto właściwie tylko o Dublanach jako o własności publicznej rozprawić przystoi, a jeżeli w toku następnych listów moich nasunie się tu i owdzie wspomnienie o przemyśle lnianych i konopnych wyrobów, to tylko o tyle, o ile takowy styka się częściowo z produkcją krajową lnu i konopi, częściowo zaś z nauką udzielaną pod tym względem uczniom zakładu rolniczego w Dublanach.

Dublany i przyszła szkoła rolnicza zajmują dziś przede wszystkim uwagę myślących obywateli kraju, a dowodem tego są głosy odzywające się w pismach publicznych i rozprawy, na które w każdym kółku o powodzenie zakładu troskliwych gospodarzy natrafiamy. Pierwsze pytanie, które się w tych rozprawach o uszy nasze odbija, i które z ust do ust cały kraj przebiega, jest to pytanie, komu zarząd Dublan i szkoły rolniczej powierzonym będzie? I nie bez przyczyny pytanie to pierwsze tożsamo w listach moich zajmuje miejsce. Wszak szkoła rolnicza jest najdroższym klejnotem, jest źródłem szczęścia, jest rogiem obfitości, jest jedynie prawdziwym bogactwem kraju, który cały swój byt rolnictwu zawdzięcza, i który jak nasz niegdyś całą Europę w żywność zaopatrzyć zdołał, zanim nas ta nauka i przemysłem ubiegła, a my o cnotach rolniczych ojców naszych zapomnieli. Cóż więc dziwnego, że każdy z nas przede wszystkim domyśleć się i odgadnąć pragnie, komu ten skarb narodowy powierzonym będzie? Lecz oprócz rzeczonych tyle już ważnych powodów do wywołania powszechnej troskliwości i niejakiej trwogi o przyszłość Dublan, inne są jeszcze niemniej ważne względy, nakazujące czuwanie wszystkim, którym na szczęśliwej przyszłości szkoły rolniczej zależy. Jeżeli bowiem zaglądnijemy do historii rolnictwa i przemysłu innych narodów, jeżeli weźmiemy na uwagę równoczesne, jeżeli już nie własne, to obce przykłady: natenczas przyznać musimy, że najkorzystniejsze przedsięwzięcia, otoczone zkażąd naj-

pomyślniejszymi okolicznościami, przy dostatecznych nawet funduszach upadają, gdy niemi albo słaba kieruje wola, albo niedokładna znajomość przedmiotu. Brak więc duszy, po-
tężnej woli i znajomością rzeczy, chyli ku upadkowi każde przedsiębiorstwo już w jego zarodzie, i często tak szkodliwie spacza, że je później najzdolniejsze zabiegi ku pomyślności skierować niemogą. Szkody ztąd wynikłe są zawsze dwojakie, materialne, dotykające bezpośrednio przedsiębiorców, ludzi zazwyczaj dobrej woli i szlachejnych zamiarów i moralne, szerzące się po kraju jak dżuma zgubną nieufnością i upadkiem wiary w udatność każdej śmielszej myśli, każdego przedsiębiorstwa, zamierzającego do pomyślności prywatnej lub publicznej.

Upadek ten moralny, szerzony zazwyczaj przez ludzi złej woli, a często przez ludzi prostodusznych, niepojmujących celu zamierzonego przedsiębiorstwa, jest niestety aż nadto u nas widoczny. W biegu bowiem niemal całego stulecia, po wielu bezowocnych usiłowaniach, witamy dopiero po raz pierwszy dwa silne stowarzyszenia, a to o tyle silniejsze, że ugodziły w rdzeń potrzeby narodowej, że się wzajemnie wspierają, że przemysł rolniczy z nauką rolniczą w jednej idą parze, — szkoła rolnicza w Dublanach z zakładem wyrobów płóciennych we Lwowie. I jakżeż tu nie zadrzeć na samo wspomnienie, że jedna z tych najsilniejszych dźwigni przyszłości naszej, że szkoła rolnicza w Dublanach oddana w niedołęzne ręce zmarnieć może, jakżeż nie zadrzeć na tę myśl, że wiara zaledwie dźwigniona z upadku, znowu na czas długi z pośród nas zniknie, jakżeż być obojętnym nawet wówczas, gdyby te czarne myśli marą były, jakżeż nie wziąć choć słabego udziału w tej dziś żywotnej narodowej sprawie, i nieobjawić choć słabej myśli tam, gdzie jej nigdy za wiele niema, gdzie tylko z zestawienia najróżnorodniejszych pojęć, jasne widzenie rzeczy wyprowadzić można.

Z tego stanowiska rozumowań wychodząc, przy całym zaufaniu, jakie w członkach komitetu galicyjskiego towarzystwa rolniczego pokładam, odważam się w następstwie listów moich umieścić niektóre uwagi, tyczące się szkoły rolniczej w Dublanach. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* Znakomity pisarz i artysta Teofil Gautier wpadł na szczęśliwy pomysł ułożenia w balet, a raczej w dramat pantomiczny, tajemniczych wpływów magnetyzmu. Myślała zupełnie nowa, nadała Gemmie cechę wyższą od zwyczajnych baletów, bo w nim uosobiła i przedstawiła znowu przed oczy świata w żyjącym obrazie tę tylekroć badaną, a zawsze ciemną zagadkę, która od tak dawna upokarza rozum ludzki. Mimika i gra rysów malują wybornie działanie tajemne niewysłowionej potęgi, którą człowiek krępuje i pozbawia woli drugiego. Wiele talentu i niepospolitej zdolności rozwinąć potrzeba było do urzeczywistnienia takiego obrazu. Gautier nakreślił główne zarysy, a genialna tancerka Fanny Cerito wzięła resztę na siebie.

Niemała to sztuka postawić i nadać ruch pięciu wielkim obrazom, z których każdy najmniej ze stu osób złożony, każdej z tych osób określić gesta, ruchy i kroki, poczynawszy od pierwszej aż do ostatniej figurantki, która gdzieś tam w cieniu skacze. Twórca baletu musi być zarazem poetą, malarzem, muzykiem i nauczycielem—talenta rzadko z sobą w parze chodzące. Cerito wywiązała się z trudnego zadania z zadziwiającą wszechstronnością.

Przedmiot baletu wzięty jest z romansu Aleksandra Dumasa: Balsamo. Dwie sprzeczne namiętności w teje samej kobiecie, która kocha pod wpływem magnetyzmu, a nienawidzi obudzona, są kopalnią niewyczerpanych efektów, szerokiem polem dla tancerki.

Powszechnie znany romans Dumasa, uwalnia mnie od analizy libretta, które jest tem samem dla twórcy baletu, czem płótno dla malarza. Pomijam więc opis magnetycznych sposobów, do jakich ucieka się hrabia Santa-Croce, chcąc wykraść Gemmę, młodą dziewczkę, której piękność i majątek bardzo mu do smaku przypadły; pomijam jak później uspiwszy ją magnetycznie, wyłudza od niej podpisanie ślubnego kontraktu, jak wreszcie miłość prawdziwa wyzwala biedaczkę z zakłętogo koła, w którym ją hrabia na uwieży trzyma, jak nakoniec malarz kochanek zabija hrabiego—pomijam to wszystko, i przystępuję wprost do wykonania baletu.

Pierwszy obraz przedstawia Gemmę w gronie kobiet, przymierzającą stroje przed ogromnem zwierciadłem. Obraz ten zdaniem znawców jest arcydziełem sztuki baletniczej. Dwanaście par tańczące razem; w każdej parze druga osoba jest sobowtórem pierwszej, każdy jej gest i skok odbija jak zwierciadło, co wymaga niesłychanej akurataności, niemal wcielenia się w tańczące wzory, ale taki taniec dobrze wykonany nadzwyczaj jest oryginalny. Cerito z cieniem swoim zupełnie jedną stanowi istotę; nawet z twarzy i koloru włosów obie tancerki podobne do siebie jak dwie perełki. Wiele potrzeba było pracy i wytrwania, żeby dojść do takiej podwójnej jedności.

Bardzo jest także ładna scena w drugim obrazie, kiedy Gemma w śnie magnetycznym obsypuje hrabiego jakby umarłą pieszczołą, w której znać, że nie ma ani własnej woli, ani chęci, tylko przymus. Tutaj Cerito posunęła swój talent do najwyższego stopnia.

Jak ptak węzowem okiem przyciągany, tak ona krąży niepewnym lotem około róży, w którą magnetyzer siłą swoją zgromadził, i zatrzał zapachy. Zbliży się doń trwożliwie;... płochliwa, drżąca... porywa, do ust cisnie, i mimowolnie upaja się zdradliwą wionią, w której zamknięte namiętne nakazy. Z gorączkowem wysileniem kwiat do serea przytula... a kiedy zazdrośny kochanek wyrwa jej ów kwiat przeklęty, ową różę czerwoną ogniem piekielnym, z jakąż tkliwością ucieka się pod opiekę prawdziwej miłości!

Ale krótko trwa ta niezależność. Magnetyzer połąga woli porywa ją do walca, i w tym tańcu szalonym utraconą przewagę odzyskuje. Szczególne sprawia wrażenie widok tej bladej dziewczyny, w białej balowej sukni, z martwym okiem,—krok w krok bieży w ślady człowieka, który swą wolą zakreśla jej koła i gzygaki: to ją przyciąga, to odpycha, to ją nurza w wirze tańca, to znow jak posąg stawia skamieniałą. Artystka oddała wybornie ten bezduszny taniec nad pojęcie trudny. Brak życia i własnej woli uwydatniła tak, iż rzekłbyś, że to cień wywołany wśród balu różeczką czarnoksięską. Trudno lepiej naśladować nieziemski chód lunatyka.

Trzeci obraz jest czysto dramatyczny; tańce wcale doń nie wchodzi. Tu znow znakomita jest scena, kiedy Gemma budzi się w posępnym pałacu, do którego nie wie jak weszła; spostrzega, że w ślubne suknie ubrana, że przy jej boku nienawidzony stoi mężczyzna i wpada w rozpacz... Prosi go i grozi na przemian, ale jedno i drugie rozbija się o nieubłaganą wolę hrabiego.

W czwartym obrazie przesłiczna jest chwila, kiedy Gemma wyswobodzona, jak gołębia ze szponów jastrzębia, wbiega do swego kochanka malarza. Wtedy kibić jej łamie się w tak piękne kształty,

tak czarowne przybiera pozę, że przypomina Psychę Kanowy, schyloną nad Kupidydem. Białe muśliny artystycznie fałdowane, zdaleka zupełnie do karraryjskiego marmuru podobne, a gracya rąk podniesionych, pewno w niczem sławnemu posągowi nie ustępuje. To też wywołano Gemmę po kilka razy, i nasypano jej tyle kwiatów, że nagle taniec wstrzymać musiała, bo posadzki brakło pod lawiną róż i kamelii.

Co rzadko byw w balecie, muzyka jest bardzo ładna. Hrabia Gabrielli, znany kompozytor baletów we Włoszech, usilnie się starał, żeby muzyka odpowiedziała mimice. W całej kompozycji przebija łaćwosć i włoska swoboda. W pierwszym obrazie mianowicie tony wyborne wtorują misternej sztuce podwyższania wdzięków; muzyka jest lekka, powabna a zdradna, jak piękna kokietka.

* Dzisiaj ma przybyć do Lwowa francuski generał Letang wraz z żoną. Mieszkanie dla niego przygotowane u Dreznera.

* Jutro w kościele archikatedralnym wielka msza Hahna z towarzyszeniem dętych instrumentów pułku Schönhals.

* Dołączona do poprzedniego Numeru rycina mój przedstawia:

1) **Ubiór do wyjścia.** Kapeluszek krepowy przystrojony różami, wstążkami i blondyną. Kania tiulowa, a brzegi kani z tafty różowej; kania ta jest od 6 do 7 cali szeroka, i garniowana w cztery rzędy krepowemi różkami, z których każda blondynką białą obszyta. Fartuszek od kapelusza krepowy lizierkami z tafty i różkami tak jak kania ubrany. Po obu bokach bukcieiki róż bez liści, z tyłu fontaż z końcami obszytymi blondynką. **Szlafroczek** czarny jedwabny ozdobiony wstążkami szkockimi. Stanik wysoko zachodzący z baskiną zaokrągloną. Rękawy szerokie u dołu, z przodu otwarte do połowy. Spodnica przystrojona szeroką falbaną. Stanik, spodnica i rękawy obszyte wstążką szkocką, jak to na rycinie widzimy. Półkoszulek z koronki *guipure*, rękawki tiulowe z dwoma szlarkami, podpięte fontaziem. 2) **Ubiór dla młodej osoby.** Kapeluszek tiulowy w bufki i wstążkami ubrany. Cały ten kapeluszek marszczony, brzeg kani formuje bufkę na 5 cali z wstążki różowej, dalej trochę odstąpiwszy znowu bufka na 4 cale, a dalej trzecia bufka na 3 cale. Każda bufka z wstążki jest pokryta tiulem marszczonym. Fartuszek u kapelusza w ten sam sposób zrobiony, z tyłu fontaż z końcami z wstążek różowych. Pod kanią przyszyty welonik tiulowy, i podpięty kilkoma fontaziami. Pod spodem ubrany blondynami i małemi pączkami róż. Stanik i spodnica z białego muszliu, przystrojona falbanami dzierzganemi i małemi fontazikami z wstążek. Stanik wysoko zachodzący, z przodu na guziki spięty. Szlarczka dzierzgana przez środek marszczona spada od ramion aż do pasa z przodu i z tyłu i małemi fontaziami podpięta. Szlarką dzierzganą obszyta baskina dokoła. Rękawy szlarką obszyte i fontaziem podpięte. Spodnica o 4ch falbanach. Półkoszulek i rękawki muszlinowe haftowane, wązką koronką obszyte. Parasolik zwany *marquise* z materyi białej, dokoła szlak różowy przerabiany i frędzlą białą i różową obszyty. U góry parasolika pięć fontazi z wstążki różowej z pięcioma końcami wstążek na dół spadającymi.

Przyjechali od dnia 4. do 5. sierpnia do Lwowa:

PP. Janiszewski Ignacy, ze Żurawna. Garapich Elias, ze Zagorza. Smólski Józef, z Kobylnicy. Kruszyński Henryk, z Dąbrowicy. Bętkowski Leon, z Przemysła. Łączyński Józef, z Korczyny. Małecki Kajan, ze Skomoroch. Stepnowski Władysław, z Firlejówki.

PP. Szczepański Józef, z Danilczy. Wereszczyński Michał, z Korczyny. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Stadnicki Alexander hr., z

Trzenicy. Strzelecki Krzysztof, z Płuhowa. Drohojewski Kazimierz hr. z Balic.

Wyjechali od dnia 4. do 5. sierpnia ze Lwowa:

PP. Romanowicz Jan, do Guzikówki. Cetner Eugeniusz hr., do Podkamienia. Poten Fryderyk, do Łahodowa.

PP. Antoniewicz Antoni, do Przemysła. Krasicki Piotr hr., do Rohatyna. Michalewski Antoni, do Niedzielisk.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam	—	Medyolan za 300 lirów	—
Bugsburg za 100 zlr.	118 $\frac{1}{8}$.	Paryż za 300 franków	137 $\frac{5}{8}$.
Frankfurt	78	Agió duk. ces.	—
Frankfurt za 120 zlr. podług		Srebra agio	18
24 $\frac{1}{2}$ stopy	117 $\frac{1}{4}$.	Pożyczka 5% 85 $\frac{1}{8}$, 4 $\frac{1}{2}$, 74 $\frac{1}{16}$	
Genua	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	87 $\frac{1}{4}$.	Akcyje banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	1738 $\frac{1}{4}$.
Liwno	—	Obl. ind.	81 $\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.	11. 29.	Nowa pożyczka z loteryą	—
Marsylia	—		

Wczorajszy.	Kurs lwowski.	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	zlr. 5 kr. 26 zlr	5 kr. 30	
Dukat cesarski	5 " 32 "	5 " 36	
Półimperyal zł. rosyjski	9 " 31 "	9 " 34	
Rubel srebrny rosyjski	1 " 50 "	1 " 51	
Talar pruski	1 " 45 "	1 " 48	
Polski kurant i pięciozłotówka	1 " 20 "	1 " 21	
Galicjskie listy zastawne za 100 zlr.	87 " — "	88 " —	
Obligacje indemnizacyjne 74 do 75 zlr. — kr.			

(128) Nauka muzyki na fortepianie. (2—3)

Wiele osób zgłaszało się do mego zakładu muzycznego w chęci uczenia się samej tylko teoretycznej muzyki, na co zimową porą nie miałam wolnego czasu; bo wszystkie godziny zajęte były przez osoby uczące się teoretycznie i mechanicznie razem. Teraz niektórzy uczni moi wyjechali ze Lwowa na parę miesięcy, a zatem udzielana będzie w zakładzie moim w niektórych godzinach przez trzy miesiące, zaczawszy od pierwszego września do ostatniego listopada r. b. nauka teorii muzycznej, dla takich uczniów, którzy mają sposobność uczenia się w domu mechanicznie, a dokładnego czytania nót i gruntownych reguł muzycznych chcieliby łatwym i prędkim sposobem wyczyć się w zakładzie moim.

Cena tejże nauki miesięcznie 6 zlr. m. k. za jedną godzinę codziennie, lub też trzy razy w tygodniu po dwie godziny od razu, w których to godzinach odbywać się będzie nauka układania alfabetycznie nazwy wszystkich tonów muzycznych z bemolami, krzyżkami, i tonacjami, tak w kluczu violiniowym, jako też i bassowym. Przeprowadanie tychże tonów na klawiszach, dla dokładnego wycuczenia się, który ton na jaki klawisz przypada, i w której oktawie się znajduje. Układanie alfabetyczne wszystkich gam majorowych, minorowych, obiegników, tonacyj, i t. d. Przeprowadanie w ogólności wszystkich reguł muzycznych, ułożone w sposób pytań i odpowiedzi na małych tabliczkach. Taktowanie wszystkich podziałów, jakie tylko muzyka zawiera w sobie, jako też dzielenie taktu na najdrobniejsze części i t. d.

Całe to przyrządzenie do nauki teorii muzycznej składa się z rozmaitych drobnych cząstek drewnianych, zawierających w sobie przeszło dwadzieścia tysięcy sztuk ruchomych, z których w miarę potrzeby formują się dla uczniów zadania na tablicach i stołach umyślnie do tego urządzonech.

Nauka ta wykładana jest sposobem tak łatwym do zrozumienia i wycuczenia się, że nawet dzieci sześciolatnie bez unudzenia się, z łaćwoscią w prędkim czasie wycuczą się najgruntowniej czytania nót, co już w moim zakładzie zostało stwierdzone dowodami, i o czem każdy przekonać się może.

Osoby życzące sobie korzystać z tej nauki, raczą się zgłosić do mego zakładu muzycznego pod Nr. 131 przy ulicy pobocznej dominikańskiej gdzie dawniej był Cyrkuł, na pierwsze piętro, w godzinach od 12. do 1. w południe codziennie.

Letycyja Wilczopolska.